

Warszawa dnia 24 Lipca / 5 Sierpnia 1868 roku.

Nr 31. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok IV.

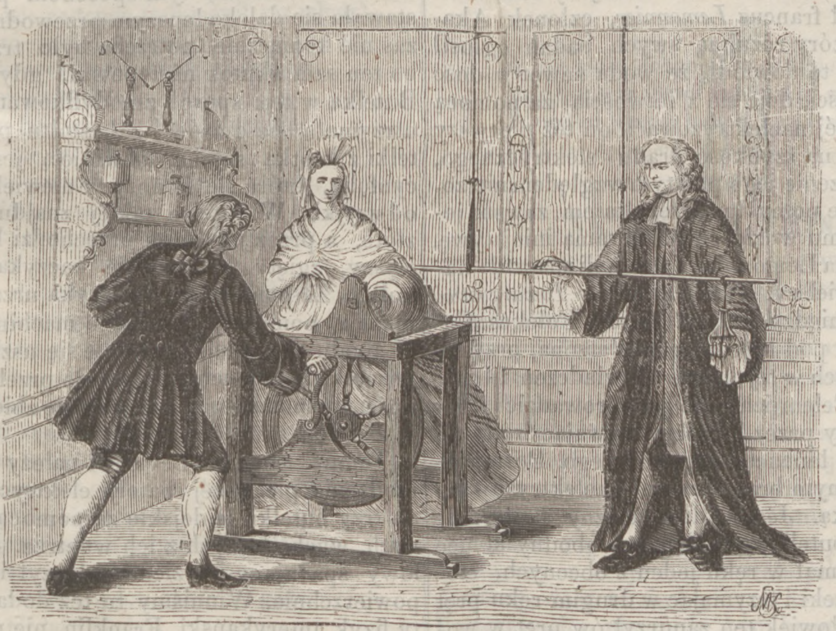
CUDA ELEKTRYCZNOŚCI,

(podług dzieła Figuier'a les Merveilles de la science).

II.

BUTELKA LEJDEJSKA.

W holenderskim mieście Leydzie, r. 1746 profesor *Musschenbrock*, w towarzystwie kilku uczonych, zajmował się pewnego dnia doświadczeniami z machiną elektryczną; wiedząc, że ciała naelektyzowane, wystawione na powietrze, tracą w krótkim czasie elektryczność, skutkiem dobrego przewodnictwa powietrza, Musschenbrock wyobraził, że jeżeli ciało naelektryzowane, zostanie ze wszech stron otoczone złemi przewodnikami elektryczności, to nietylko większą jéj ilość otrzymać będzie mogło, ale nawet dłużéj zdoła ją przechować. Że zaś szkło złym jest przewodnikiem, a woda dobrym, Musschenbrock umyślił naelektryzować wodę zawartą w naczyniu szklannném. Zrazu niedostrzeżono nic ciekawego w tém doświadczeniu, ale gdy się zdawało, że woda jest już dostatecznie naelektryzowaną, postanowiono cofnąć szklanne naczynie, które kommunikowało z konduktorem machiny elektrycznéj za pomocą żelaznego drutu, zanurzonego w wodę. Lecz w chwili gdy Musschenbrock, trzymając w jednéj ręce naczynie szklanne, dotknął się drugą konduktora, by usunąć je od machiny, uczuł się nagle boleśnie uderzonym w piersi i ramiona. Doświadczenie to ponawiano kilka razy i zawsze z jednakowym skutkiem: wtrząśnienie było tak gwałtowne, że porównywano je do uderzenia piorunu. Niektóre osoby doznawały nawet konwulsji, inne mniemały się zabitemi, innym jeszcze rzuciła się krew z nosa.



Doświadczenie z butelką lejdejską.

Zapał, jaki wówczas powstał w świecie uczonym i nieuczonym, był nie do opisania. Pomimo niebezpieczeństwa, jakie zagrażało zdrowiu obserwatorów, doświadczenia lejdejskie w całéj Europie były powtarzane. A pewien uczony niemiecki, którego odwieść chciano od tych doświadczeń, wręcz powiedział: „Zgodziłbym się umrzeć od wstrząśnienia elektryczności, bo śmierć moja dostarczyłaby przedmiotu do artykułu *w Pamiętnikach królewskiéj Akademji nauk w Paryżu.*"

Ze wszystkich jednak doświadczeń z naelektryzowaną butelką, najciekawszemi były francuzkiego fizyka Nolleta. Jedno z nich odbył w Wersalu, w obec króla i całego dworu: ustawił oddział gwardji francuzkiéj, składający się z dwustu czterdziestu żołnierzy, w ten sposób, że się wszyscy za ręce trzymali, tworząc tym sposobem niby nieprzerwany łańcuch. Na jednym końcu tego łańcucha stanął Nollet, a na drugim żołnierz trzymający butelkę z wodą naelektryzowaną. Gdy fizyk dotknął swą ręką drutu żelaznego, zanurzonego w butelce, utworzywszy tym sposobem komunikacją pomiędzy wewnę-

trzną i zewnętrzną powierzchnią naczynia, natychmiast dało się uczuć wstrząśnienie na całéj długości łańcucha. Cały oddział żołnierzy zadrżał i podskoczył. Podobneż doświadczenie zrobił w kilka dni późniéj Nollet w klasztorze Kartuzów, z tą tylko różnicą, że zakonnicy zamiast się trzymać bezpośrednio za ręce, łączyli się jeden z drugim za pomocą mniej lub więcej długich drutów żelaznych. Długość tego łańcucha wynosiła 900 sążni. Tenże sam Nollet zabijał za pomocą elektryczności ryby i ptaki.

Z gabinetu uczonych, doświadczenia nad elektrycznością zeszły na ulicę, do szałasów kuglarskich. Czyniąc zadość wymogom publiczności, uproszczono przyrząd służący do tych doświadczeń. Pod nazwą *butelki Ingenhousza* przedawano aparat, który łączył zarazem i butelkę lejdejską i machinę elektryczną, naturalnie w bardzo skromnych rozmiarach. Również w modzie była, tak zwana, *trzcina elektryczna*, składająca się z rury szklannéj, napełnionéj wewnątrz dobrym przewodnikiem elektryczności i objętéj prawie do końca powłoką blaszaną, pomalowaną na kształt zwykłéj laski. Trzcinę taką, po naelektryzowaniu, podawano osobie nie domyślającéj się podstępu, w ten sposób, że ręka jéj dotykała jednocześnie tak szklannéj, jak blaszanéj rury, przezco następowało dość silne wtrząśnienie elektryczne. Do takich to zabawek naginano wówczas elektryczność!

Byli jednak mężowie, co rzetelną korzyść starali się odnieść z tych doświadczeń. Pomiędzy nimi wielce się odznaczył francuz *Lemonnier*, członek Akademji nauk, który rezultat swych badań ogłosił w r. 1746. On to dowiódł, że woda nawet w dość znacznéj objętości, daje się z łatwością za pomocą butelki lejdejskiéj naelektryzować; on téż pierwszy zwrócił uwagę na szybkość prądu elektrycznego, a lubo doświadczenie jego pod tym względem nie zostało uwieńczone pomyślnym rezultatem, zawsze jednak należy się mu wdzięczność za samą inicjatywę.

Doświadczenia Lemonniera posunęli znacznie naprzód uczeni angielscy. Kilku członków *Towarzystwa królewskiego*, a między innymi Marcin Folckes, Cavendish i Bevis, pod kierunkiem Watsona, przystąpili do pierwszych w téj mierze doświadczeń 14 i 18 Lipca 1747 r. Celem ich było przeprowadzić strumień elektryczny przez Tamizę, używając wody téj rzeki jako części łańcucha przewodniego. Postawiono więc na jednym brzegu rzeki naelektryzowaną butelkę lejdejską. Jeden drut żelazny łączył się z wnętrzem téj butelki, gdy drugi swobodny koniec tego drutu trzymał w ręku jeden z obecnych, stojąc na brzegu rzeki i trzymając w drugim ręku pręt żelazny. Gdy człowiek ten zanurzył ów pręt w wodę, toż samo uczynił inny badacz stojący na przeciwnym brzegu rzeki, i trzymający drugą ręką drut żelazny, którego koniec, przechodząc po nad powierzchnią wody, mógł być zetknięty z konduktorem butelki. Gdy urządzono łączność pomiędzy wnętrzem butelki, a zewnętrzną jéj powierzchnią, stykając ów drut z konduktorem, natępowało wyładowanie elektryczności, a wstrząśnienie dawało się uczuć w jednéj chwili obu badaczom rozdzielonym przez Tamizę. Elektryczność tym sposobem przechodziła kolejno przez ciało pierwszego badacza, wodę Tamizy, ciało drugiego badacza stojącego po drugiéj stronie rzeki i drut, który ten ostatni trzymał w ręku. W jedném z tych doświadczeń zdołano zapalić spirytus za pomocą strumienia elektrycznego, który rzekę przebiegł. Fakt ten zdawał się nie prawdopodobnym. Możnaż było uwierzyć, by ogień przebiegłszy rzekę zapalił spirytus? A jednak było tak w rzeczy samej.

Doświadczenie to powtarzano kilkakrotnie na coraz większych odległościach, i zawsze też same otrzymano rezultaty. Co większa, powtórzyły się one nawet w tenczas, gdy pręty, zamiast zanurzać w rzece, wtykano w ziemię w dość znacznéj nawet odległosci. Ziemia zastępowała tu miejsce wody.

Po długim szeregu podobnych doświadczeń, postanowiono zbadać, bądź co bądź, względną przynajmniéj szybkość elektryczności. Ale ze wszystkich prób, to wyniesiono przekonanie, że strumień elektryczny przebiegał drut na 12,276 stóp długi — w jednéj chwili. Doświadczeń na większą skalę jeszcze nie przedsiębrano.

Ksiądz francuzki Nollet, o którym wyżéj wspomnieliśmy, zamiast butelki z wodą, począł używać naczynia szklannego bez wody, i bez powietrza, i otrzymał też same co i ze zwykłą butelką lejdejską rezultaty. Przekonał się też, że kształt naczynia zupełnie jest rzeczą obojętną, dla otrzymania iskry elektrycznéj.

Uczony angielski, *Bevis*, ważne zaprowadził zmiany w budowie butelki lejdejskiéj. Wodę bowiem zastąpił śrótem ołowianym, a następnie papierem metalowym złotym lub cynfolją. Następnie wpadł na myśl oklejania takimże papierem zewnętrznéj powierzchni butelki; tym sposobem powierzchnia ta stawała się daleko lepszym przewodnikiem, butelkę zaś nie koniecznie potrzeba było trzymać w ręku, bo ten sam skutek następował, gdy stała na stole. Butelka w ten sposób zmodyfikowana, do naszych utrzymała się czasów. Z kształtu podobna do butelki z krótką szyjką, obwiniętą jest na zewnątrz cynfolją, która się kończy w niewielkiéj odległości od szyjki. W butelce takiéj znajdują się papierki złote, a przez jéj korek przechodzi konduktor mosiężny, zgięty w kształcie haczyka i zakończony kulką. Za pomocą tego haczyka urządza się komunikacja pomiędzy butelką a machiną elektryczną. U spodu zaś butelki znajduje się uszko, do którego uczepia się łańcuch, służący do przelania elektryczności, różnoimiennéj niż ta co się zbiera w butelce— w ziemię.

Temuż samemu Bevisowi należy się zaszczyt urządzenia pierwszéj baterji elektrycznéj. Połączył on trzy butelki lejdejskie za pomocą drutów żelaznych, wychodzących z ich wnętrza. Łańcuch metalowy spadający na ziemię, łączył ich zewnętrzne powierzchnie. Winniśmy tu też dodać, że znakomity fizyk amerykański, Franklin, nie mając ani wyobrażenia o téj baterji, wpadł na myśl urządzenia podobnéj. Na wzór Bevisa, Watson urządził wielką baterję z dwunastu dużych szklanek, w które powkładał papier srebrny. Rezultaty, jakie ztąd otrzymano, były tak wielkie, że iskrą z baterji téj wydobytą zabijano większe zwierzęta. Tak zwany *kwadrat elektryczny* także przez Bevisa został urządzony. Składa się on ze szklannéj tafli, oprawionej w ramy drewniane, i posiadającej na obu stronach płatki cynfolji, z których jeden za pomocą blaszki łączy się z ramami, a następnie z łańcuszkiem dowolnéj długości. Przy nabijaniu elektrycznością tego przyrządu, zwanego téż *kondensatorem*, trzeba zetknąć płatek górny z machiną elektryczną, a łańcuch spuścić na ziemię. Chcąc zaś sprowadzić wy-

ładowanie elektryczności, należy połączyć za pomocą narzędzia podobnego do szczypczyków (excytator) powierzchnię kwadratu. Przez ten wynalazek Bevis doszedł do przekonania: że natężenie wyładowania butelki lejdejskiéj zależy od obszerności przestrzeni, na któréj zbiera się elektryczność, nie zaś od mocy źródła elektryczności.

(Dokończenie nastąpi.)

KRADZIONE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

przez

Władysława Syrokomlę.

(z Pamiętnika Naukowo-Literackiego.)

—W ręce Aspana Panie Jakubie,
Mówisz: *kradzione lepsze*, i chcesz tego dowieść,
Ja sôbie rozmaite przypowieści lubię,
Powiem Aspanu przypowieść:

W samym końcu zaścianka, pilnując swej niwy,
Żył sobie szlachcic poczciwy,
A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa;
Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to
Okropnie było pstrokato,
Zwyczajnie jak u młokosa.
A tutże mój Mospanie, koło ich stodoły
Ciągnął się wygon sąsiada,
Na którym pasły się stada,
Konie, owieczki i woły.
—„Czy wiecie co tatulu (tak mówił raz młody),
Fraszki to—praca i cnota,
U nas panie poczciwość, trudy, niewygody,
A w domu wieczna hołota;
Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną,
Poczciwym nie da talarka,
Dla jednego pomyślność odmierza ośminą,
Drugiemu liczy na ziarnka.
Naprzykład: choćby u nas—ot idą zapusty
A w domu ni to, ni owo,
Hola, jakby to dobrze, by we Czwartek tłusty
Utuszyć pieczeń wołową!
—A zkądże weźmiesz wołu?
—„Czy to wielka sztuka,
Nibyto dostać nie możem.
Chodzą woły sąsiada—po gardlisku nożem,
Niech potém sąsiad poszuka.
—„Cóż to! zawołał ojciec, tóż kradzież wyraźnie,
To jakaś sztuka zbójecka”
A siódme przykazanie, a sumienie—błaźnie,
A nasza wiara szlachecka?!
—At myśleć, co się godzi, a co się nie godzi,
Za cóż my biedni i głodni,
Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni,
Czy to po ludziach nie chodzi?—

Na takie *argumentum* ojciec mruknął z cicha:
—Cóż robić? szatan cię uczy,
Ukradniem jutro wołu, lecz pomnij do licha,
Nigdy kradzione nie tuczy.

Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
Cichaczem kupił wołu, napił się borysza,
Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,
I z wołem... het! do zacisza.
Zaraz nożem po gardle, nieszczęsnego byka
Rozćwiertowali w stodole,
I jak słowo powiedzieć już u czynszownika
Wołowa pieczeń na stole.

—„Wiesz co? teraz mój synu, odmierzym się w pasie,
Zjadając mięso tak cudnie,
Będziem wiedzieć Mospanie, po niejakim czasie
Kto z nas utyje, kto schudnie?”—
Zmierzyli się:—i każdy na swojej poprędze
Zaznaczył kreskę czerwoną.
—„Co to gadać tatulu, schudzeni przez nędzę
Teraz utuczym się pono!”

Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
Codzień przysmaczek od wołu;
Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
Pojutrze pieczeń u stołu.

A tu rejwach w zaścianku—sąsiad niby jęczy,
Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie,
Syn dręczy się obawą jak duch potępieńczy,
Już mu i jadło nie w głowie;
Czy kto skrzypnie we wrotach, on w nocy i we dnie
Marzy o przyjściu sąsiada;

W obiedzie... strach, zgryzota, co chwila pobledni,
A ojciec smaczno zajada.
Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
Ojca wiek zniszczył i znoje,
Lecz kiedy zjedli wołu, syn wysechł jak szczepka,
A ojciec utył we dwoje.
—„A co błaźnie (rzekł stary) pamiętaj przysłowie:
Że *Male parto do czarta*,
Ja zakupiłem wołu—toć mi szło na zdrowie,
Ty kradnąc schudłeś na charta.”

* * *

—„A cóż panie Jakubie, jak przypowieść zda się?”
—„Moralna! sens na wierzchu jakby gwiazda świeci.”
—„Ja umiem jeszcze lepsze, a w swobodnym czasie
Więcej opowiem Waszeci.”

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 30-ty).

Wszystko to jeszcze, że Pastraniewicz nic nie robił a miał pieniądze, że je wydawał nie oglądając się na jutro, nie dałoby powodu i podstawy do pogłoski, że się ukrywał. Przyczyniły się do tego zupełnie inne okoliczności, które sąsiadki roznosiły po piętrach i kamienicach wązkiej i brudnej ulicy,

Jedna z tych kumoszek przysięgała na wszystko. że kolor włosów Pastraniewicza nie był naturalnym. Czy miała najbystrzejsze oczy, czy jej się przewidziało, czy z cery wnioskowała jakiemi włosy być powinny, dość że się klęła na czem świat stoi, że Pastraniewicz nie może być brunetem, i że sobie włosy farbuje albo też perukę nosi. Czy farbuje, czy w nieswoje się ubiera, na to się długo Kapitulna ulica zgodzić nie mogła; w końcu jednak przyjęto za pewnik, że musi farbować, bo peruka nie mogła być tak doskonałą, żeby jej dopatrzeć nie było można, a wreszcie gdyby nosił perukę, toby ją sobie dobrał odpowiednią do koloru twarzy, który był tylko blondynom właściwy.

W istocie patrząc na Pastraniewicza, nie można było kumuszkom odmówić trafności poglądu. Czarne jak heban jego włosy stanowiły dziwny jakiś kontrast z twarzą, i nadawały jego fizjognomyi uderzającą i oryginalną cechę.

Pastraniewicz golił się bardzo starannie i często, pozostawiając tylko wąsy. Znać było, że ma zarost

silny i gęsty, w tem jednak zachodziła także dosyć rażąca anomalja.

Silni bruneci po ogoleniu mają zazwyczaj miejsca wygolone śniedsze od reszty twarzy. Czarna barwa włosa zdaje się przebijać przez skórę w niezliczonej liczbie drobniejszych punkcików, znacznych nawet zaraz po ogoleniu, a występujących zupełnie wyraźnie po upływie kilkunastu godzin. Otóż na twarzy Pastraniewicza wcale znać tego nie było, jakkolwiek wąsy jego czarnością nie ustępowały włosom.

To potwierdzało jeszcze podejrzenie, że się farbuje.

Lud prosty ze szczególnem niedowierzaniem patrzy na tych, co sztuką zmieniają cokolwiek w naturalnym składzie swych rysów. Jeżeli spostrzeże coś fałszywego, skłonnym jest do domyślania się dalszych fałszów. Z pojęcia, że ktoś nie jest brunetem, choć się za bruneta udaje, bardzo łatwo przychodzi do ogólnego wniosku, że ten ktoś nie jest tym za kogo się przedstawia. Ledwie zbadano, że Pastraniewicz nie jest brunetem, zaczęto zaraz przypuszczać, że Pastraniewicz nie jest Pastraniewiczem. Na potwierdzenie tego ogólnego przypuszczenia znalazły się prędko rozmaite wskazówki. Pastraniewicz był tajemniczym, jeżeli hulał to hulał sam, znajomości dawniejszych nie miał, nowych nie szukał,—nie trudno było zarobić od niego, ale nikogo nie poczęstował, do nikogo pierwszy nie zagadał, a gdy do niego zagadano, starał się jak najbardziej skracać rozmowę, i nigdy nikomu o swoich stosunkach nie mówił. Czyż tego nie było dosyć?....

Gdy się rozeszła wieść, że tego i owego dopytywali się ludzie, czy nie wie o jakim Ciupskim, a nikt odpowiedzieć nie umiał, naturalnie że wszyscy, co Pastraniewicza znali z widzenia i sąsiedztwa, zaczęli się zastanawiać, czy to przypdkiem nie on jest tym Ciupskim. Jeżeli był tylko farbowanym Pastraniewiczem, to musiał w istocie być kim innym, a jeżeli był kim innym to mógł być Ciupskim.

Jaki taki udzielił pomysł drugiemu, drugi trzeciemu, trzeci innym jeszcze. Nie jeden spostrzegł, iż domysł jego własny zgadza się z domysłem sąsiadów, i z powodu tej zgodności domysłów, przyjmował przypuszczenie za pewnik, a takim sposobem rozeszła się wieść, że Ciupski ukrywa się pod nazwiskiem Pastraniewicza, i zwróciła na niego uwagę policyi.

Czy to okoliczność miała mieć jakie dla Pastraniewicza skutki, niedługo się to powinno było wyjaśnić.

XVII.

Dopiero nazajutrz po wizycie u Ciupskiego, dwaj dobrowolni obrońcy Opędzkiego, pan Soter i pan Antoni, mogli się zobaczyć ze swym klijentem.

Bohatér nasz wyraźnie przychodził do zdrowia, a kto wie, czy nie przyczynił się do tego wpływ moralny, jaki wizytą swoją wywarli nasi dwaj przyjaciele. Nie mógł jeszcze mieć nadziei, że prędko opuści łóżko, — co zresztą w położeniu jego nie mogło być dlań zbyt pilnem, — widocznie jednak siły wracały, a niebezpieczństwo zwalczone przez naturę i sztukę, już się powtórzyć nie miało.

Opędzki przyjął pana Sotera i pana Antoniego jak dwóch starych przyjaciół, z uśmiechem radości i szczęścia, z wyrazami wdzięczności za życzliwość jaką mu okazują. Znać było po nim, że się nie obawiał i nie przypuszczał, żeby poszukiwania, do których im wskazał drogę, mogły ich doprowadzić do jakich odkryć, któreby go poniżyły w ich oczach.

Pan Fiksz i pan Kukuli przychodzili też uradowani i szczęśliwi. Opędzki mógł z ich spojrzeń odgadnąć, że mu coś wesołego i pomyślnego przynoszą. W nadziei swojej posuwał się nawet tak daleko, że przywitawszy ich zapytał:

— A co?.... czuję, że jakieś niezłe wieści?... czy czasem nie złapano mordercy?

To zapytanie zasępiło cokolwiek oblicza dwóch przyjaciół.

— Co do mordercy brudna sprawa,—rzekł pan Soter,—dotychczas nie ma najmniejszego śladu.... ale jest rzecz ważniejsza może.... mamy dowody prawdziwości pańskich zeznań, i dziś już moglibyśmy wejść na drogę sądową o uznanie pana niewinnym....

— Dowody faktyczne, panie,—dodał pan Antoni,—świadkowie i pieniądze znaczone, co wszystko stwierdza, żeś pan był w posiadaniu półimperjałów przed wypadkiem zabójstwa, i że na pana spadać podejrzenie nie może.

— I chcielibyśmy się pana zapytać czy można ten krok rozpocząć....

— Opowiedzcież mi panowie szczegółowo jakie zebraliście dowody,—rzekł promieniejący szczęściem Opędzki,—i chciejcie wierzyć, że lubo pragnę wolności, w tej chwili jednak bardziej z tego się cieszę, żeście się przekonali, iż mówiłem prawdę, niż z tego, że mi robicie nadzieję, która, nie trza się łudzić.... dopóki nie pochwycą mordercy, zbyt trudną jest do zjiszczenia.

Dwaj przyjaciele zdali obszernie sprawę z wszystkich przejść missji, którą na siebie przyjęli.

Opędzki słuchał ich rozpromieniony.

— Widzicie panowie,—rzekł, gdy skończyli swą relacją,—żem niewinny rabunku, a więc.... sądzę że o tem nie wątpicie... i zabójstwa. Dziękuję wam serdecznie, żeście podjęli tyle trudu, ażeby dojść do tego przekonania, i wdzięcznym wam będę za to do ostatniego tchnienia. Przyznaję, że przy pomocy tych dowodów i świadectw jakie macie, możnaby zwalić wyrok, który mnie skazuje, jednakże kusić się o to wcale nie podobna.

— A to dla czego?...—zapytali dwaj przyjaciele zdumieni.

— Musiałbym denuncjować Ostrugiewicza.

— I pan chcesz tego łotra oszczędzać?....

— Łotr, nie łotr, nie jest moją rzeczą go sądzić. Czegom nie chciał powiedzieć gdym był dopiero oskarżonym, a tym samem prawdopodobnie niewinnym, tego powiedzieć nie mogę, będąc skazanym, bo dałbym dowód, że wyrok, który mnie napiętnował niesłusznie, pozbawił mnie zasad i uczuć poczciwości i honoru, jakie wyznawałem poprzednio, a zasady te i uczucia, panowie, tkwiły w mej duszy, chociaż przeciwko nim nieraz przez lekkomyślność i brak silnej woli grzeszyłem, tkwiły i tkwią. W samotności tego więzienia postanowiłem sobie, że się ich silniej jeszcze i wytrwalej trzymać będę, że w kajdanach czy na wolności nie odstąpię od nich nigdy. Dlatego mowy o tem nawet być nie może. Zostanę tutaj, pójdę nawet do kopalń, gdy wyzdrowieję, i będę nosił na sobie sromotę, dopóki się Bogu podoba, mam jednak

ufność w Nim, że nie do śmierci. Prawdziwy sprawca zbrodni wykryć się musi i wykryje.

Pan Soter i pan Antoni ze łzami w oczach słuchali tych słów, świadczących o niezwalczonem postanowieniu Opędzkiego odrodzenia się moralnie. Obaj zacni i poczciwi, szacunek tylko dla niego za ten szlachetny upór mieć mogli.

Mimo to jednak żal im było, że inaczej zrobić nie można, i że niewinny, do którego skazania się przyczynili, bez własnej winy wprawdzie także, cierpieć jeszcze będzie musiał, gdy jego niewinność udowodnioną byćby mogła.

Zamyśleli się obaj, czyby się nie znalazł jaki sposób zaradzenia temu.

Po jakiejś chwili twarz pana Antoniego rozjaśniała się nagle.

— Mam środek, który wszystko pogodzi,—zawołał.

— Słuchamy,—rzekł pan Soter.

— Panie Opędzki, upoważnij nas tylko do tego, żebyśmy się poradzili adwokata twojego. Powiemy mu wyraźnie, że nie chcesz poruszać sprawy, jeżeli oskarżenie Ostrugiewicza jest koniecznem. Jestem najmocniej przekonany, że się wszystko da zrobić tak, iż temu łajdakowi włos z głowy nie spadnie, dopóki za inną jaką sprawkę nie dostanie się w kajdanki. Wszak tutaj idzie tylko o to, żeby potwierdził zeznanie Ciupskiego, który będzie głównym świadkiem, i który zupełnie nawet nie wie, że jego dłużnik utrzymuje formalny dom gry.

— Wątpię, czy się to tak da zrobić,—odrzekł z westchnieniem Opędzki.

— Zrób to pan dla nas drogi panie, i pozwól nam spróbować, żebyśmy cię na sumieniu nie mieli.

— Zmiłujcie się panowie, jakież sobie o mnie czynić możecie wyrzuty.... mówiliście czystą prawdę, nic więcej.

— Piękna prawda!.... za którą niewinnego skazują do kopalń na całe życie...

— To nie wasza wina....

— Może, ale naszym obowiązkiem jest, starać się o to, żeby ten niewinny nie cierpiał długo.

Opędzki się opierał i niełatwo go było przekonać, aż po długiem gadaniu pan Antoni zagadnął go w ten sposób:

— Jak widzimy, panie Opędzki, masz żal do nas, kiedy na poruszenie swojej sprawy pozwolić nie chcesz.

— Żartujecie panowie... cóż wam prócz wdzięczności winienem.

— Skazujesz nas na wyrzuty sumienia...

— Znowu żarty... zazdroszczę wam czystości waszych sumieni, moi drodzy przyjaciele.

— Na bezsenność...

— Powinniście spać spokojnie... kara niewinna nie jest hańbą... cierpiąc ją, nauczę się hartu woli i odrodzę się moralnie, a sami wiecie, że mi to potrzebne.

— Wreszcie... kiedy ci już wszystko mam powiedzieć, panie Opędzki... skazujesz nas na pragnienie.

— A to jakim sposobem?...

Pan Fiksz opowiedział ślub jaki uczynili obydwaj na wstrzemięźliwość, aż do jego uwolnienia.

— Jeszcze żarty...— uśmiechnął się Opędzki.

— Przysięgliśmy,—odrzekli obaj,—i święcie dotrzymać musimy.

— Rozgrzeszam was, panowie, z tego ślubu...

— A kto panu dał taką władzę?— zapytał śmiejąc się pan Fiksz,— nie rozgrzeszenia nam twojego potrzeba, bo ono nas od niczego nie zwalnia, ale pomocy, żebyśmy jak najprędzéj kufelkami się trącili.

Skazany się zamyślił.

— W istocie, — rzekł po chwili, — nie miałem racji się opierać, kiedy mi przyrzekacie, że w żadnym razie Ostrugiewicz oskarżonym nie będzie. Róbcie panowie co wam się podoba, pamiętajcie o tym jedynym warunku... Ale...

— Jakież ale?... — przerwał niespokojny pan Fiksz, — na żadne ale, oprócz oszczędzenia Ostrugiewicza, nie przystajemy. Pozwoliłeś pan i koniec.

— Ale nim się do tego weźmiecie, — kończył z pewnem wzruszeniem chory,—chcę żebyście wiedzieli dobrze, dla kogo podejmujecie te wszystkie trudy. Widzę, że zebrawszy dowody, że nie jestem zabójcą, macie mnie jak za oczyszczonego zupełnie i gotowiście poświęcać dla mnie bez ograniczenia czas swój i usiłowania. Osądźcie czym tego wart, nim się zabierzecie do dzieła. Oprócz zarzutu zbrodni, ciąży na mnie zarzut podłości. Z dumą wyznaję, że na zarzut zbrodni nie zasłużyłem, ale niestety z wstydem wyznać muszę, że drugie obwinienie nie jest niesłusznem. Posłuchajcie za co ciśnięto mi tym wyrazem w oczy publicznie, i jakie do tego miano prawo,— a wtedy ocenicie, czy warto mi otwierać bramy więzienia, czy może lepiéj dla mnie, żebym dłużéj, bardzo długo pokutował w tych murach lub we wnętrzu kopalni za to czem ciężko i nieszlachetnie przewiniłem, żebym cierpiał w skutek niesłusznego posądzenia, za to żem innych posądzał niesłusznie.

Jak się łatwo domyśleć, pan Soter i pan Antoni nie chcieli słuchać téj spowiedzi, przewidując, ile wzruszenia, zwierzenie się z swéj winy kosztować mogło chorego więźnia.

— To do nas nie należy, — zaprotestował pan Soter.

— To sprawa między Bogiem a panem — dodał pan Fiksz.

— Powiem panu więcéj... gdybyś był nawet winnym innego zabójstwa, innéj zbrodni krwawéj, nie uwolniłoby nas to od naszego obowiązku. Do nas należy zrzucić z ciebie plamę wyroku, który oparty na zeznaniach naszych, prawdziwych lecz dających się fałszywie tłumaczyć, potępił cię za czyn zbrodniczy, którego nie popełniłeś.

— A ja jednak obstaję przy tem i muszę wam dać się poznać,—odrzekł Opędzki,—jesteście obywatelami kraju, i osądzić winniście, czy zgadza się z obowiązkiem obywatelskim powracać wolność człowiekowi takiemu jakim ja... niestety... byłem, i jakim może będę, — bo nie macie prawa wierzyć moim przyrzeczeniom, że wstąpię na inną drogę życia, dopóki ich czyny nie potwierdzą.

Dwaj przyjaciele ponowili swoją opozycją, ale to nie pomogło. Opędzki się uparł i mówić zaczął.

Opowiadanie to było szczegółowe i długie. Obejmowało w sobie całą jego historją, od kolebki nieledwie. Była to prawdziwa spowiedź jeneralna z grzechów żywota. Widać z niéj było, że bohatér nasz, skutkiem wychowania i towarzystwa, jak to najczęściéj bywa, błądził, ale miał w sobie silnie zakorzenione zasady dobre, z mlekiem z piersi matki wyssane. Sam siebie ocenił dobrze, brak woli

był przyczyną wszystkich jego zboczeń, i dobrze pojął, że cios który go spotkał, mógł go odrodzić, wpływając zbawczo na zahartowanie jego energji.

Przez wzgląd na czytelników naszych, i z tą historją tak postąpić musimy jak już z opowiadaniem Ciupskiego zrobiliśmy.

Byłoby może pożytecznem zajrzeć bardziéj w głąb' duszy naszego bohatéra, i rozebrać ją tem samym skalpelem, jakim on ją, nauczony myśleć w samotni, rozbierał i anatomizował. Dla niejednego z podobnych położeniem lub charakterem, bohatérowi naszemu,—a jest takich tysiące,—przegląd taki budowy moralnéj Opędzkiego, stałby się może pobudką do wejrzenia w architektonikę własnéj ich duszy, załatania w niéj skaz i szczerb, podparcia i odbudowania tego co rychłą ruiną zagraża. Niestety jednak uczynić nam tego nie wolno.

— Niewolno?—zawoła niejeden z czytelników.

Tak jest, nie wolno.

Gdybyśmy to uczynili, powieść nasza stałaby się może na kilkunastu lub kilkudziesięciu kartkach, nudną dla większéj liczby czytelników. Dawniéj,—niebardzo dawno jeszcze, autorowi wolno było trochę w taki sposób ponudzić... mógł się zawsze oprzeć na tych, co w powieści szukali przedewszystkiem myśli, a potem dopiero intrygi. Dziś ogół uczuł się widzieć dojrzałym, i postanowił myśleć za autora, żądając od niego jedynie, żeby mu za kanwę do myślenia, — bodajby jeszcze do myślenia,— dał zręcznie powikłaną bajkę. Jeżeli autor nie uczyni zadość temu wymaganiu, jeżeli się zapuści w studja psychologiczne, w moralizacyjne poglądy lub w rozbiory kwestyi społecznych,— biada mu!... praca jego odrzuconą zostanie; a na jej miejsce piękne rączki czytelniczek wezmą jakie *Najnowsze tajemnice Paryża*, gdzie Ossy okropności walą się na Peljony nieprawdopodobieństw...

A więc nie wolno nudzić, więc trzeba bawić, i choć ochota bierze milczeć, należy pisać, by czytać nie zapomniano...

Z takiéj przyczyny, opowiadanie Opędzkiego, któreby mogło dać materjał do tomowéj — nudnéj bo zwyczajnéj i prosto z życia wziętej powieści, krystalizujemy w dwóch krótkich rozdziałach, na samych faktach je ograniczając. (d. c. n.)

Sposoby wzajemnego sobie pomagania. [1])

II.

Miłość bliźniego, kierowana światłem rozumu, jak dawniej niekiedy tylko, tak w naszych czasach coraz powszechniejsze i skuteczniejsze wynajduje sposoby wspomagania ubogich, gruntując je na własnej każdego pracy a nie na jałmużnie, która jakąkolwięk będzie, poniża zawsze godność człowieka. Możność ta uchronienia się od poniżającego wyciągania ręki po jałmużnę, zasadza się na wzajemnej pomocy, udzielanej sobie nie z litości a dla własnego dobra, czyli z własnego interesu, że tak się wyrazimy.

Obecnie chcemy tu powiedzieć słów kilka o sposobie, za pomocą ktorego każdy może powiększyć swój dochód, bez zwiększenia zysku ze swej pracy, który zresztą nie zawsze bywa możliwy.

Wiadomą jest rzeczą, że ubogi człowiek, kupujący niezbędne swoje potrzeby jak żywność i paliwo w drobnych cząstkach od przekupniów, płaci za nie o wiele drożej niż bogaty, który kupuje je z pierwszej ręki i w większej ilości. Że tak jest, snadno można się przekonać, obliczywszy ile wyniesie korzec *np.* mąki kupowany częściowo na kwaterki albo sążeń drzewa kupowany na wiązeczki. A czy ubogi wyrobnik lub rzemieślnik inaczej kupuje? Ileż więc na tem traci rocznie z krwawego zarobku!

Jedyną ochroną przeciwko tej stracie jest stowarzyszenie się pewnej liczby takich ubogich w spółkę handlową, która kupowałaby wszelkie potrzeby w wielkiej ilości, a potem rozprzedawałaby je swoim członkom po cenie kosztu, z dodaniem pewnego procentu, na pokrycie wydatku, na utrzymanie sklepu i t. d.

W Niemczech i Anglii pełno jest takich spółek, zwłaszcza tam, gdzie są rękodzielnie. Niejedna taka spółka liczy już na tysiące członków, którzy w ten sposób zaopatrują się we wszystko, co jest koniecznem do utrzymania życia. Niektóre nawet posiadają własne jatki mięsne i rzeźnie bydła, oraz młyny i piekarnie.

Za przykład, jakim sposobem powstała i rozwinęła się taka spółka, niech nam posłuży istniejąca w Anglii w mieście Roczdalu.

Był to w r. 1843, gdy jednego wieczora w miesiącu Listopadzie zeszło się było w pewnej nędznej izbie kilkunastu głodem zmorzonych tkaczy, w celu naradzenia się nad tem, co mają robić, aby nie umrzeć z nędzy: czy mają opuścić ojczyznę i przesiedlić się do cudzych krajów, czy udać się po wsparcie do zakładu dobroczynnego? Skutkiem narady było to, że pierwsze odrzucono, jako niegodne prawego obywatela a drugie jako niegodne uczciwego człowieka. Cóż więc uchwalono? Ot to tylko, że wszyscy mają obowiązek starać się, aby zostali kapitalistami! i dwunastu z nich natychmiast zobowiązało się, pomimo lichego naówczas zarobku, składać tygodniowo po 10 gr. czyli 5 kop. sr. do wspólnej kassy. Wkrótce potem przyłączyła się do nich jeszcze pewna liczba podobnież ubogich. Wszyscy wnosili ową składkę jak najregularniej cały rok, a po roku wynajęli mały kramik w ubocznej jakiejś uliczce, gdzie złożyli swoje zakupy. Były to masło, mydło, oliwa, chleb, węgle i kartofle i t. p. Cały ten zapas kosztował około 600 złp. czyli 90 rsr. Kramik otwierano tylko w Poniedziałek i Sobotę wieczór na parę tylko godzin, aby każdy spólnik mógł sobie kupić co mu potrzeba było—ale tylko kupić i to za gotówkę.

Przedsięwzięcie to początkowo, nietylko że narażone było na liczne pośmiewiska i szyderstwa, ale zarazem biedzić się musiało z licznemi przeszkodami i trudnościami. Niejednonie było ani tak dobre jak w zwyczajnych sklepach, ani nawet tańsze od gdzieindziej sprzedawanych. Powodem tego było to, że robiący zakupy nie wiedzieli jeszcze, zkąd jaki towar kupować najlepiej, oraz to, że nie wiedzieli lub nie chcieli o tem wiedzieć, jakim to zręcznym sposobem umieją przekupnicy powiększyć ilość lub wagę swego towaru. Zdarzało się więc niekiedy, że żona niejednego członka ze spółki przeniewierzyła się mężowi, kupując gdzieindziej.

Mimo to wszystko, nie dali się jednak stowarzyszeni zbić z obranej drogi, zwłaszcza pierwsi, owi twórcy tej spółki; pełni wiary w dobry skutek swego przedsięwzięcia, szli dalej z całą wytrwałością i roztropnością. Cokolwiek zamierzyli dokonać, brali pod ścisłą rozwagę i najdrobniejszą nawet rzecz wykonywali dopiero po gruntownem jej zbadaniu. I tak np. ileto tu było narad i porad nad tem: czy ma się przyjąć do usługi w sklepie chłopiec? czy ma się zrobić to lub owo?

Trudności jednak dla spółki wzrastały ciągle a najwięcej szkodzili jej przekupnie; ci bowiem, widząc wzmagający się odbyt spółkowego kramiku, okropnie się przestraszyli, i aby zabić owo przedsięwzięcie, zaczęli wszystko sprzedawać z własną stratą, to jest o wiele taniej niż owa spółka. Mi-

[1]) Ob. Nr. 39 z r. z.

mo to atoli, stowarzyszeni z małym wyjątkiem wytrwali do końca i po dwóch latach tego zapasu spółzawodnictwa, wygrali sprawę; bo naturalnym porządkiem rzeczy owi przekupnie dłużej tracić nie mogli, i musieli podnieść zbyt obniżone ceny. Wielu odstępców znowu powróciło do spółkowego kramiku, z którego mieli jeszcze pewien zysk z czystego zarobku, jaki osiągała spółka z różnicy ceny zakupnej od sprzedażnej, a jaki co ćwierć roku był wypłacany spólnikom. Do tego powrotu przyczyniło się także i to, że przekonano się, iż nieraz przekupnie sprzedawali niektóre rzeczy drożej o tyle o ile inne taniej. Od tego czasu spółka rozwijała się coraz lepiej z roku na rok, aż nareszcie 1857 r. doszła do tego że miała już własny młyn, jatki mięsne, swoją przędzalnię, warsztat krawiecki i szewcki, oraz skład krótkich i łokciowych towarów, z których zaopatrywali swe potrzeby nietylko członkowie swoi ale i inne podobne spółki. Oprócz tego wkrótce spółka rzeczona nabyła własny dom, w którym założoną została księgarnia z czytelnią dzienników i różnych pism czasowych, oraz wielka izba do wykładów naukowych, co wieczór i niedzielę.

Jaki był postęp tego zakładu najlepiej objaśnia poniższy wykaz liczebny:

	Było członków	a kapitału		zysku zaś	
w r. 1844	28	28	f. s.	2	f. s.
„ 1845	74	181	„	32	„
„ 1846	80	252	„	80	„
„ 1847	110	286	„	72	„
„ 1848	140	397	„	117	„
„ 1849	390	1,193	„	561	„
„ 1850	600	2,299	„	889	„
„ 1851	630	2,785	„	990	„
„ 1852	680	3,471	„	1,206	„
„ 1853	720	5,848	„	1,674	„
„ 1854	900	7,172	„	1,763	„
„ 1855	1,400	11,032	„	3,106	„
„ 1856	1,600	12,920	„	3,921	„
„ 1857	1,850	15,142	„	5,470	„

Oto dowód co mogą małe siły, gdy kierowane są uczciwie, wytrwale i rozumnie ku dobru wspólnemu.

Ale zobaczmy jeszcze jeden przykład—z miasta Naumburga, które posiada od r. 1858 podobne stowarzyszenie do zaopatrywania się w tanie potrzeby domowego użytku. Członkowie tej spółki składają się z mieszkańców wszelkich stanów tego miasta: z panów i nie panów, ubogich nie ubogich oraz wielkiej liczby urzędników. Z początku jakoś i tu się nie chciało nikomu przystąpić do tej spółki; bo już kilka podobnych przedsięwzięć tam założonych upadło było, z powodu złej organizacji i jeszcze gorszego zarządu.

Początkowo zapisało się 70 osób, które postanowiły, że każdy wniesie do kassy jednorazowo tytułem wpisowego 50 centów [3]) a następnie składać będzie każdy co miesiąc najmniej 12 c. a najwięcej 37 $^1/_2$ zlr. [4]) Miesięczna wkładka stanowi własność członka; wpisowe zaś staje się własnością spółki i będzie użyte na utworzenie kapitału zakładowego. Oprócz tego kassa spółkowa będzie zarazem kassą Oszczędności dla dzieci członków tego stowarzyszenia. Ze złożonych i składanych pieniędzy mają być zakupywane wszelkie konieczne potrzeby domowe w ilościach jak największych, sprzedawane zaś choćby w najmniejszych po cenie kupna, z dodaniem najwyżej 8 procentu, ale za gotówkę zaraz wypłacalną. Podwyżka ta ceny ma służyć na opędzenie kosztów zarządu, a reszta pozostała od tych wydatków na zwiększenie kapitału zakładowego, lub do podziału z końcem roku pomiędzy stowarzyszonych. Jeżeli składka dojdzie do kwoty 37 $^1/_2$ zlr., może być odebraną lub wypożyczoną spółce na zwyczajny procent.

W ten sposób urządzono rzeczoną spółkę, ale cóż z tego, kiedy wszystkiego zebrało się raptem 35 talarów. Co z niemi zrobić? To nie starczyło ani na zakupienie wołu ani mierzycy (12 korcy) zboża. Kilku więc członków zarządu owej spółki ofiarowało dołożyć tyle ile będzie niedostawać do kwoty, potrzebnej do zakupienia wołu. Zrobiono więc tak, i funt mięsa wypadł o 5 cent. taniej aniżeli u rzeźników, a łój o 7. Dobry ten początek poruszył całe miasto i nowi członkowie coraz więcej przybywali. Kupiono drugiego wołu i 12 korcy żyta, które kazano zemleć na mąkę. Mięso i tego razu wypadło taniej niż u rzeźników, a przytem było i tłuściejsze i smaczniejsze. Toż samo i mąka była tańsza i lepsza. No, teraz już wszyscy niemal jakby do kassy Oszczędności zaczęli składać pieniądze. Tym sposobem środki się mnożyły a z niémi wzmagało się i działanie spółki. Założono własny sklep, w którym oprocz mięsa i mąki sprzedawano wszelkie warzywo, oraz kawę, cukier, korzenie, mydło, olej a nawet gorzałkę i t. d. Wszystko to było lepsze i tańsze niż u przekupniów a nawet kupców. Oprócz wołowiny zaczęto też sprzedawać zabite prosięta oraz skopowinę i cielęcinę, a następnie zaczęto także wypiekać chleb często o funt i półtora większy od piekarskiego i o wiele lepszy i smaczniejszy.

Po niejakim czasie spółka liczyła już 500 członków, a w jednym miesiącu targowała aż do 1,600 talarów. Wartość zaś swych zapasów ubezpieczyła przeciwko pożarowi na 1,000 talarów.

Zarząd spółki odbywa swe posiedzenia tygodniowo, a na posiedzeniach tych może być obecnym każdy członek. Co ćwierć roku odbywa się walne posiedzenie wszystkich członków, na którem przedstawiają się pod zatwierdzenie ważniejsze sprawy oraz rachunki.

Za pomocą tej spółki niejedna rodzina otrzymuje tygodniowo do 80 cent. czystego zysku, oprócz tego, że wszystko co kupi ma doskonałe, czyste, niesfałszowane.

Nakoniec z powodu tej spółki rzeźnicy musieli obniżyć cenę mięsa i starać się o lepsze mięso; podobnież i piekarze radzi nie radzi musieli powiększyć wagę chleba i piec lepszy. Zyskali więc na tem i inni, nienależący do stowarzyszenia—z wyjątkiem naturalnie samych rzeźników, piekarzy i przekupniów.

Z tych przykładów widocznem jest, jak wiele dobrego przynoszą wspólki. *Ad. N. Nakęski.*

²) 1 funt szterlingów znaczy tyle co rsr. 6 czyli 40 złp.
³) 1 cent równa się 1 $^1/_5$ gr. pol. czyli $^3/_5$ kop. sr.
⁴) 1 złoty Reński znaczy 4 zł. pol. czyli 60 kop. sr.

KAJETAN JAXA MARCINKOWSKI.

Nie darmo to mówią: *twarz jest zwierciadłem duszy,* i kto w nią pilnie wpatrywać się nauczy, prawie nieomylnie poznaje z fizjognomji wewnętrzną naturę człowieka. Są znowu niekiedy tak wydatne i przez czas wyrobione twarze, że nie wielkiej potrzeba wprawy i domyślności, ażeby poznać wewnętrzną wartość jej gospodarza. Przypatrzcie się tylko powierzchowności człowieka wyobrażonego na poniżej umieszczonym rysunku. Jakie tam wysokie o sobie zarozumienie, obok bezmyślnej i nietroskliwej pogody umysłu, jaką nadać może życie spędzone nie na pracy, a na dogodzeniu zmysłowym potrzebom, a najbardziej na troszczeniu się głównie o to, ażeby żołądeczek był zawsze syty, żeby nie dręczyło pragnienie smacznego truneczku i nie zużywała sił bezsenność—co się nazywa pieczeniarstwem, odnośnie do ludzi, którzy nie mają sami środków do dopięcia tych celów, a muszą sobie je zdobywać maluczkiemi zasobami, jakiemi obdarzyła ich natura, marnując je w samym zarodku.

Takim pieczeniarzem w całem znaczeniu był Kajetan Jaxa Marcinkowski. Nie podajemy go wszakże wam na pośmiewisko, kochani czytelnicy, boć szydzić z bliźnich zabrania nam nauka Chrystusa, lecz chcemy, ażebyście wyciągnęli z tego rysu jaką taką naukę, i zapoznali się z nazwiskiem, w danem czasie bardzo rozgłośnem. Zresztą, wina pieczeniarstwa nie cała ciąży na nim, on skorzystał ze społeczeństwa, jakie mu było spółczesnem. Jakoś to ludzie przed kilkudziesięciu laty lubili się bawić prawdziwym dowcipem z nauki tryskającym i być bawionemi choćby głupstwem, a byli uczeni i bogaci. Jeszcze przed niedawnemi czasy, można było bezczelnem oszustwem wyłudzić na jakiś czas grosze, ale to już podłe rzemiosło, do jakiego bynajmniej nasz Marcinkowski nie należał. Owszem, kiedy się poznał na grubym niekiedy żarcie, zrzekał się nawet przynajmniej na czas jakiś smacznych obiadów, ażeby tem dać dowód obrażonej dumy.

Raz znakomity Czacki, chcąc ubawić towarzystwo, namówił Jaxę do przyjęcia udziału w grze w zagadki, i gdy niby w roli Anchizesa, którego syn Eneasz wyniósł na barkach swoich z Troi, przygniótł ciężarem swego ciała biednego Jaxę, tak, że ten prawie na czworakach wlazł z nim do salonu, całe towarzystwo wybuchło homerycznym śmiechem, wołając: „Odgadujemy zagadkę: to wjazd Pana Jezusa do Jerozolimy."



Kajetan Jaksa Marcinkowski.

Poznał się wtedy Marcinkowski, wyjechał z Porycka, i oparł się aż w Warszawie, gdzie pozabierał znajomości ze znakomitościami literackiemi, rozumie się bogatemi panami, jakich podówczas nie brakło, a działo się to w 1818 r. Niezwalczoną jego manią było klecenie wierszy, i narzucanie się z niemi na każdym kroku; jednych to bawiło, drugich oburzało, tak, że i w stołecznem mieście nie obeszło się bez konfuzyi, po której nasz wierszokleta przeniósł się do Lublina, ulegając w tej mierze namowom generała Morawskiego, który pozwolił mu nawet objeżdżać po tem mieście w swojej karecie. Tam tedy napisał poemat większych rozmiarów pod tytułem: *Pobyt w Lublinie*, w którym, chcąc opisać kościół S-go Michała, założony przez Leszka Czarnego, męczył się nad dobraniem rymu do wyrazu *mury* i nareszcie z pokrzywdzeniem historji napisał: *Leszek wtóry*, i dopiero za poradą Morawskiego, użył przez podobieństwo do koloru czarnego wyrażenia: *Leszek Bury*.

Upojony powodzeniem, jaki w jego przekonaniu doznała odegrana na teatrze Lubelskim jego utworu komedja *Rzeczpospolita Babińska*, szukał szerszego pola dla swych nieposkromionych zdolności, i wrócił do Warszawy.

Po drodze w Puławach czytał swój poemat *Rzeki* i opowiadał, że gospodyni domu płakała, i w złotej szkatule złożyła rękopism w świątyni Sybilli.

Powtórny pobyt w Warszawie nie był wszakże tyle szczęśliwy co pierwszy. Przykrzono już sobie jego towarzystwo, prenumerata na utwory chorowitego umu nie była jak dawniej rozchwytywaną, słowem, że bieda zaczęła dokuczać bohatérowi naszemu. Garderoba się wyszarzała, policzki zapadły, i humor trochę skwaśniał. Spostrzegli to jego mecenasi, a że przytem był człowiek uczciwy, nuż rada w radę, i wyrobili mu posadę inspektora do pilnowania dzieci po szkołach w Płocku.

Nie bardzo chętnie ale z konieczności, powlókł się Jaxa do tego grodu, a, jak pisze Morawski:

„Mówią, że po tej wieści
[rozszerzonej w Płocku,
Tak się ciemno zrobiło,
[jakby o północku."

I tu nie opuściła go choroba rymoklectwa, a przedmiotu mu nie brakło, bo nie był wybredny, biorąc za cel swoich uniesień, w braku czego innego żydów i żydówki płockie. Urząd wszakże sprawował wcale przyzwoicie, dzięki dobrym radom prezesa Kobylińskiego.

Nareszcie w roku 1831 choroba ciężka sprowadziła go do szpitala w Warszawie, gdzie dokonał swego żywota, zostawując po sobie przykład: że człowiek niższych zdolności, niedouczony, nieoddający się poważnej pracy, staje się igraszką drugich, i zawsze ciężarem społeczeństwa.

Oprócz powyżej wzmiankowanych utworów, wydał nadto z druku: *Upominek dla młodzieży polskiej*, *Rzut oka na stan tegoczesnego oświecenia w Polsce* i *Zabawy wierszem dla płci pięknej*.

Aloizy Kuczyński.

Myśli i Zdania.

Ze spokojnem sumieniem, z zacnością i cnotą, człowiek nigdy nie może być nieszczęśliwym i nigdy ubogim, jakiekolwiek tam jego stanowisko, fortuna i pozycja między ludźmi.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.